

Żelazna kurtyna, imperia i powrót geopolityki [TPCT 518]

Być może to, co bierzemy za chaos, jest w istocie powrotem do tragiczności, która zawsze stanowiła podszewkę ludzkich dziejów? Intuicje początkowe są niemal zawsze definitywne, a my po dekadach dryfowania wracamy do punktu wyjścia: do pytań o naturę władzy, o porządek imperiów, układ równowagi, który na naszych oczach ulega dekompozycji.

To, że cały dotychczasowy porządek zaczyna być kwestionowany, a jego poszczególne elementy zaczynają się kłaść jeden za drugim, jak w dobrze ustawionym torze z kostek domino – pisaliśmy już dobrych 10 lat temu. Wtedy słyszeliśmy, jak trzeszczy stary system, jak szwy zaczynają się rozłazić, ponieważ nie były w stanie utrzymać zmieniającej się formy. Dziś już to zwyczajnie widzimy. Ostatnia eskalacja działań między Stanami Zjednoczonymi i Izraelem a Iranem przestała dokonywać się w sferze odstraszenia czy symbolicznego gestu – nastąpiła faza wojny na Bliskim Wschodzie, która angażuje kolejnych aktorów i nie widać wyraźnej perspektywy końca tego konfliktu. Toczy się brutalna wojna po napaści Rosji na Ukrainę. Czy to zatem zapowiedź niechybnego armagedonu? A może raczej korekta struktury geopolitycznej? Historia uczy, że rzadko kiedy mamy do czynienia z czystą katastrofą; częściej z brutalnym dostosowaniem się układu sił do realiów, które już wcześniej istniały, lecz były przykryte iluzją stabilności. Możemy też sięgnąć w przeszłość. Gdy 5 marca 1946 roku w Fulton Winston Churchill wypowiedział słynną frazę o „żelaznej

kurtynie”, która zapadła nad Europą, nadawał rzeczy właściwie imię. Ba! w swoim stylu zilustrował pęknięcie, które już się dokonało (choć niezwykle przykre i dojmujące z naszej perspektywy). W tym sensie jego przemówienie było zarówno diagnozą geopolityczną, jak i uznaniem, że świat nie jest jednolitą przestrzenią postępu, lecz polem napięć między różnymi wizjami ładu. Czy ta historia mówi nam coś o dzisiejszym stanie świata?

Wróćmy do tego wątku. Jeśli bowiem historia jest dramatem, który – parafrazując jedną z *Elegii Duinejskich* Rilkego – „Przepełnia nas. Porządkujemy. Lecz się rozpada. // Scalamy znów. I rozpadamy się sami”, to każda epoka musi na nowo skonfrontować się z tym wyzwaniem. Po 1989 roku uwierzyliśmy, że dramat został rozwiązany, że kurtyna nie stanowi już przeszkody. Jednak scena historii przemieniona w przestrzeń globalnej wymiany, jednobiegunowej chwili, okazała się iluzją, która chciała na dobre zastąpić nam rzeczywistość. Tymczasem powrót geopolityki to przecież nie proste nawiązanie do przeszłości. Rzecz raczej w tym, że wraz z nią budzimy się ze snu i z przeświadczeniem, że fundamenty dawnego świata nigdy nie przestały istnieć. Zostały jedynie przesłonięte i oto wraca stare.

W tym kontekście nowe (stare) imperia nie są anomalią, lecz konsekwencją struktury politycznej. Imperium nie jest przecież wyłącznie kategorią militarną, lecz także formą polityczną zdolną integrować różnorodne przestrzenie pod jednym centrum decyzyjnym, tworzyć hierarchię peryferii i rdzenia, narzucać normę. W tym sensie współczesne Chiny jawią się jako nowe imperium środka, zarówno w sensie historycznym, jak i cywilizacyjnym. Chiny proponują model, w którym suwerenność, technologia i kontrola społeczna splatają się w jeden projekt modernizacyjny, pozbawiony liberalnej metafizyki

wolności. To imperium nie musi zdobywać kolonii; wystarczy, że zwiąże świat siecią zależności infrastrukturalnych i handlowych. Rosja natomiast, nosząca w sobie pamięć zarówno carskiego uniwersalizmu, jak i sowieckiego mesjanizmu, postrzega Zachód nie tyle jako konkurenta, ile jako cywilizacyjnego oponenta. Buduje swoją opowieść w oparciu o przekonanie, że świat jednobiegunowy był chwilowym odstępstwem od reguły. Jej percepcja to swoista mieszanka geopolityczna i metafizyczna zarazem. Zaś w sporze z liberalizmem widzi obronę własnej tożsamości. Dlatego konflikt sprowadza jednocześnie do brutalnego naruszenia granic czy powrotu do stref wpływów, lecz dotyka także czegoś głębszego: wizji wspólnoty czy historii.

Nie można przejść obojętnie wobec zmiany, która zarysowuje się także w obrębie Stanów Zjednoczonych, które jeszcze nie tak dawno były „jedynym supermocarstwem”, dziś coraz wyraźniej przeżywają moment nowego imperialnego samookreślenia. Długo widziały siebie głównie jako gwaranta porządku liberalnego, chcąc przysłonić swoją tożsamość imperialną. Tymczasem każde globalne zobowiązanie, każda baza wojskowa, każda interwencja – od Bliskiego Wschodu po Indo-Pacyfik – przypomina, że są bytem politycznym zdolnym projektować siłę na skalę globalną (o czym przekonaliśmy się zarówno przy okazji interwencji w Wenezueli czy obecnej w Iranie). Czy to jest objaw siły czy właśnie próby ułożenia własnej słabnącej obecności w porządku, który przybiera coraz mocniej skomplikowany układ – pozostaje sprawą otwartą. Z pewnością dziś pytaniem nie jest czy Stany Zjednoczone są imperium, lecz jakim imperium chcą być: hegemonem normatywnym czy realistycznym strażnikiem równowagi sił?

W takiej niepewności można zadać pytanie kim/czym jest katechon i czy w ogóle jest obecny w tym porządku? Czy jest nim NATO? Sojusz Północnoatlantycki powstał jako odpowiedź na rzeczywistość żelaznej kurtyny, jako wspólnota obronna świata Zachodu. Dziś jednak musi redefiniować swoją rolę w obliczu nowych zagrożeń, niemniej czynnik, który powołał ten układ do życia – na nowo przypomniał o swojej obecności. Jeśli ma być przestrzenią, która gwarantuje ład, nie może ograniczyć się do spójności wojskowej (choć i tu dostrzec można pewne pęknięcia i niedociągnięcia), lecz powinno na nowo odtworzyć pewną wspólnotę polityczną świadomą własnych fundamentów cywilizacyjnych. Czy to jest dziś mrzonka, czy ciągle realny projekt?

Być może to, co bierzemy za chaos, jest w istocie powrotem do tragiczności, która zawsze stanowiła podszewkę ludzkich dziejów? Intuicje początkowe są niemal zawsze definitywne, a my po dekadach dryfowania wracamy do punktu wyjścia: do pytań o naturę władzy, o porządek imperiów, układ równowagi, który na naszych oczach ulega dekompozycji. W tym numerze chcemy przyjrzeć się tym tektonicznym przesunięciom, nie tylko przez pryzmat map czy wykresów, ale przede wszystkim zastanawiając się nad światem, w którym starzy bogowie geopolityki na nowo upomnieli się o swoje ofiary. Warto zastanowić się w jaki sposób nawigować w tej strukturze świata i jak ostatecznie nie znaleźć się po niewłaściwej stronie kolejnej kurtyny.

Jan Czerniecki
Redaktor naczelny

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[518]: „Żelazna kurtyna, imperia i powrót geopolityki”**